

Ruch globalny: kilka wyjaśnień

David Graeber

Tłumaczenie: Adam Pomieciński i Katarzyna Tomaszewska
Tekst w oryginale: **The Globalization Movement: Some Points of Clarification**,
[w:] **The Anthropology of Development and Globalization**,
From Classical Political Economy to Contemporary Neoliberalism,
Edelman M., Haugerud A. (red.), Oksford 2005, s. 169–172.

Warszawa 2004
fot. Andrzej Barabasz
[s. 36]

Genua 2001
fot. Ares Ferrari
[s. 41]



W tym ruchu chodzi o odnowienie demokracji, o stworzenie i uruchomienie poziomych struktur zamiast struktur pionowych (państwowych, korporacyjnych lub partyjnych), sieci opartych na zdecentralizowanej, niehierarchicznej, zgodnej demokracji.

O tak zwanym ruchu antyglobalistycznym napisano masę bzdur – szczególnie o jego bardziej radykalnej odmianie działań bezpośrednich – a bardzo mało pisali ci zaangażowani w ruch choć przez chwilę. Jak zauważył Pierre Bourdieu, lekceważenie ruchu przez amerykańskich naukowców jest całkowicie skandaliczne. Naukowcy, którzy przez lata publikowali eseje brzmiące jak manifesty dużych ruchów społecznych, wydają się teraz zmieszani lub, co gorsza, wyniośle obruszeni, gdy wszędzie powstają prawdziwe ruchy. Jako aktywny uczestnik ruchu oraz antropolog pragnę pokazać szersze tło intelektualistom, którzy są zainteresowani podjęciem swojej historycznej odpowiedzialności. Ten esej ma na celu wyjaśnienie kilku źle ugruntowanych pojęć i poglądów.

Wyrażenie „ruch antyglobalistyczny” zostało ukute przez korporacyjne media, natomiast ludzie z ruchu, szczególnie spoza organizacji pozarządowych i działań bezpośrednich, nigdy nie czuli się z nim wygodnie. Zasadniczo jest

to ruch działający przeciwko neoliberalizmowi i na rzecz stworzenia nowych form globalnej demokracji. Niestety, to stwierdzenie nie ma prawie znaczenia w Stanach Zjednoczonych, ponieważ media uparcie przedstawiają te kwestie w sposób propagandowy („wolny handel”, „wolny rynek”), a termin „neoliberalizm” nie jest powszechnie używany. Dlatego też na spotkaniach można usłyszeć, jak wymiennie używane są określenia „ruch globalistyczny” i „ruch antyglobalistyczny”.

Jeśli globalizacja oznacza zniesienie granic oraz wolny ruch ludzi, dobytku i idei, to jest całkiem oczywiste, że ruch antyglobalistyczny jest nie tylko efektem globalizacji, ale też większość grup w niego zaangażowanych – szczególnie tych bardziej radykalnych – znacznie bardziej popiera globalizację niż zwolennicy Międzynarodowego Funduszu Walutowego lub Światowej Organizacji Handlu. Prawdziwe korzenie ruchu kryją się w międzynarodowej sieci zwanej People’s Global Action. PGA wyodrębniło się w 1998 z ruchu zapatystów eucentro w Barcelonie, a członkami-założycielami były nie tylko hiszpańskie, brytyjskie i niemieckie grupy anarchistyczne, ale też socjalistyczna legia chłopów gandhistów z Indii, związek argentyńskich nauczycieli, grupy rdzennych mieszkańców, na przykład Maorysów z Nowej Zelandii oraz federacje z Ekwadoru, ruch chłopów bezrolnych z Brazylii i sieć wspólnot założonych przez zbiegłych niewolników w Ameryce Południowej i Środkowej. W Ameryce Północnej przez długi czas sieć była słabo rozbudowana (oprócz Kanadyjskiego Związku Pocztovców, który działał jako skrzynka kontaktowa PGA, zastąpiona potem Internetem). To PGA dało pierwsze sygnały do takich działań, jak J18 (18 stycznia) czy N30 (30 listopada – działania przeciwko szczytowi Międzynarodowego Funduszu Walutowego w Seattle).

Internacjonalizm jest również odzwierciedlony w żądaniach ruchu. Tu trzeba tylko spojrzeć na trzy filary włoskiej grupy Ya Basta!: powszechnie zagwarantowany „minimalny dochód”, postulat światowego obywatelstwa, które gwarantowałyby swobodny ruch ludzi przez granice, i postulat swobodnego dostępu do nowej technologii – co w praktyce oznacza maksymalne ograniczenie praw patentowych (które same w sobie są bardzo podstępą formą protekcjonizmu). Co więcej, protestujący starali się zwrócić uwagę na fakt, że neoliberalna wizja „globalizacji” jest praktycznie ograniczona do swobodnego przepływu towarów i zwiększa ograniczenia przepływu ludzi, informacji i idei. Jak to często przypominamy, liczebność amerykańskiej straży granicznej Stanów Zjednoczonych zwiększyła się prawie trzykrotnie od czasu podpisania układu NAFTA [Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu – przyp. tłum.]. To nie powinno dziwić, bo jeśli nie można byłoby efektywnie uwięzić większości ludzi w biednych enklawach, w których nawet istniejące gwarancje socjalne byłyby stopniowo znoszone, firmy takie jak Nike czy The Gap nie miałyby motywacji, aby tam przenosić produkcję. Na przykład protesty w Genewie zainicjowała demonstracja, w której brało udział 50 tysięcy ludzi, wzywająca do swobodnej migracji z Europy i do Europy. Fakt ten został zupełnie pominięty przez prasę, która następnego dnia pisała o George’u Bushu i Tonym Blairze mówiących, że protestujący domagali się „twierdzy Europy”.

W przeciwieństwie do dawnych form internacjonalizmu, ruch ten nie domaga się eksportu zachodnich form organizacji do reszty świata, jeśli już, to przepływ odbywa się w przeciwnym kierunku. Większość technik ruchu (proces konsensusu, mediacje, nawet samo masowe, pokojowe obywatelskie nieposłuszeństwo) pojawiło się najpierw na globalnym Południu.

Na dłuższą metę można to uznać za najbardziej radykalną cechę ruchu.

Od czasu Seattle światowe media ciągle krytykują rzekomą przemoc działań bezpośrednich. Szczególnie media w Stanach Zjednoczonych przywołują podobne stwierdzenia, chociaż po 2 latach coraz bardziej gwałtownych protestów w kraju ciągle nie można znaleźć przykładu osoby poszkodowanej przez protestanta. Istniejące władze niepokoi, moim zdaniem, fakt, że nie wiedzą, jak poradzić sobie z rewolucyjnym ruchem, który nie naśladuje istniejących wzorców zbrojnego oporu.

Świadomie próbuje się zmienić istniejące przyzwyczajenia. O ile kiedyś się wydawało, że jedynymi alternatywami dla demonstracji były albo obywatelskie pokojowe nieposłuszeństwo w stylu Ghiandiego, albo otwarte powstanie, to grupy takie jak: Direct Action Network [Sieć Działań Bezpośrednich – przyp. tłum.], Reclaim the Streets [Odbijmy Ulice – przyp. tłum.], Black Blocs [Czarne Bloki – przyp. tłum.] lub Ya Basta! starają się wytyczyć nowe terytorium między tymi skrajnościami. Starają się stworzyć coś, co wielu nazywa „nowym językiem” protestu: łączą elementy, które w innych okolicznościach mogłyby być uznane za teatr uliczny, festiwal, z takimi, które mogą tylko być uznane za walkę bez przemocy (w sensie rozumianym przez anarchistów z Black Blocs, czyli wyrzeczenia się bezpośredniego fizycznego krzywdzenia ludzi). Ya Basta! jest znana na przykład ze słynnych form pikietowania, od zbroi z pianek do wewnętrznych rurek i pływaków przypominających gumowe kaczki, hełmów oraz najbardziej znanych chemoodpornych białych kombinezonów. Gdy ta armia bez użycia przemocy przebija się przez policyjne barykady, broniąc się wzajemnie przed uderzeniami lub aresztowaniem, cały ten sprzęt wydaje się sprowadzać ludzkie istoty do

postaci z kreskówek – bezkształtnych, ale niezniszczalnych. (Efekt jest niszczalny, gdy szeregi przebranych postaci atakują policję balonami, pistoletami na wodę i szczotkami do kurzu). Nawet najbardziej bojowi – na przykład ekosabotażyści z Earth Liberation Front [Front Wyzwolenia Ziemi – przyp. tłum.] – skrupulatnie unikają czegokolwiek, co mogłoby wyrządzić krzywdę ludziom (jak również zwierzętom, jeśli o nie chodzi). To przełamanie zwykłych kategorii zaskakuje siły porządku, które odwołują się znów do zwykłej przemocy jak w Genui, gdzie zachęcano faszystowskich chuliganów do udziału w proteście, aby mieć pretekst do użycia siły.

Właściwie zapatyści, którzy w znacznej mierze zainspirowali ruch, też mogliby być sami uważani za precedens. Są armią najbardziej pozbawioną przemocy, jaką można sobie tylko wyobrazić (nie jest już tajemnicą, że przynajmniej od 5 lat nie noszą prawdziwej broni palnej). Ta nowa taktyka pozostaje w pełnej zgodzie z anarchistycznym duchem ruchu, któremu mniej chodzi o przejęcie władzy państwowej, a bardziej o obnażenie, zdelegitymizowanie i rozmontowanie mechanizmów władzy przy jednoczesnym uzyskaniu od niej coraz większej autonomii. Jednak, co najważniejsze, to wszystko jest możliwe tylko w pokojowej atmosferze. Moim zdaniem, to jest obecnie najważniejszy cel walki: wybór głównego kierunku, w którym pójdzie cały XXI wiek.

Trudno już sobie przypomnieć (a przypomina o tym Eric Hobsbawm), że anarchizm stanowił rdzeń radykalnej lewicy w XIX wieku. W tym czasie większość partii marksistowskich gwałtownie się przekształcała w socjaldemokratyczne. Tę sytuację odmieniła dopiero I wojna światowa oraz oczywiście rosyjska rewolucja. Zwykle się przyjmuje, że sukces tej ostatniej zapoczątkował schyłek anarchizmu, a na pierw-

szy plan wyniósł komunizm. Ale wydaje mi się, że można na to spojrzeć w inny sposób. Pod koniec XIX wieku ludzie szczerze wierzyli, że wojna między krajami przemysłowymi jest nie do pomyślenia. Wypadki kolonialne trwały, ale wojna między Francją a Anglią na ziemi francuskiej lub angielskiej była nie do pomyślenia. Do 1900 roku nawet użycie paszportów wydawało się przestarzałym barbarzyństwem.

Wiek XX (o którym można powiedzieć, że zaczął się w 1914, a skończył gdzieś między 1989 a 1991 rokiem) był, dla kontrastu, najbardziej krwawy w historii. Był to wiek prawie w całości poświęcony wojnom światowym lub przygotowaniom do nich. Nie powinno dziwić, że najwyższą miarą politycznego sukcesu stała się zdolność stworzenia i utrzymania zmechanizowanych maszyn do zabijania, w związku z czym anarchizm stracił znaczenie. To w końcu było coś, w czym anarchiści nigdy nie mogą być dobrzy. Nie dziwi, że marksizm (którego partie były zorganizowane na sposób wojskowy i dla którego organizacja zmechanizowanych maszyn do zabijania była jedynym, co im dobrze wychodziło) w porównaniu wydawał się niezwykle praktyczny i realistyczny. Czy w związku z tym jest zbiegiem okoliczności, że gdy tylko zakończyła się zimna wojna i znów walka między krajami uprzemysłowionymi stała się nie do pomyślenia, to anarchizm wrócił na pozycję, na której znajdował się pod koniec XIX wieku, czyli w sam środek rewolucyjnej lewicy?

Jeśli tak jest, to jaśniejszy staje się ostateczny cel bieżącej mobilizacji „antyterrorystycznej”. Na krótką metę wygląda to jako zagrożenie dla ruchu, który rządy desperacko nazywały terrorystycznym już przed 11 września. Nie ma wątpliwości, że wielu dobrych ludzi odczuje straszne represje. Ale na dłuższą metę powrót do XX-wiecznego poziomu przemocy jest po +

prostu niemożliwy. Rozprzestrzenianie broni jądrowej zagwarantuje, że coraz większa część globu będzie poza zasięgiem wojny konwencjonalnej. A jeśli wojna jest zdrowiem kraju, to widoki dla organizacji anarchistycznych mogą tylko się poprawiać.

Nie mogę sobie przypomnieć, jak wiele czytałem w lewicowej prasie artykułów twierdzących, że ruch globalny, chociaż taktycznie błyskotliwy, nie ma głównego tematu ani spójnej ideologii. Te narzekania są lewicowym odpowiednikiem niekończących się oskarżeń w prasie prawicowej: że ten ruch składa się z głupich dzieciaków wymachujących pękiem zupełnie niepowiązanych spraw. Jeszcze gorsze są zarzuty – dziwnie często można je zauważyć w pracach teoretyków nauk społecznych, którzy powinni być lepiej zorientowani, jak na przykład Michael Hardt i Antonio Negri lub Slavoj Žižek – że ruch jest trapiiony przez wrodzoną niechęć wobec struktur i organizacji, wynikającą z burżuazyjnego indywidualizmu. Martwi, że 2 lata po Seattle nawet trzeba to pisać, ale ktoś najwyraźniej powinien: szczególnie w Ameryce Północnej w tym ruchu chodzi o odnowienie demokracji. Nie jest on przeciwny organizacji; chodzi w nim o nową formę organizacji. Nie brak mu ideologii; te nowe formy organizacji są jego ideologią. W tym ruchu chodzi o stworzenie i uruchomienie poziomych struktur zamiast struktur pionowych (szczególnie państwowych, korporacyjnych lub partyjnych), sieci opartych na zdecentralizowanej, niehierarchicznej, zgodnej demokracji.

Szczególnie w ciągu ostatnich 10 lat aktywiści w Ameryce Północnej wykazali się wielką inwencją w formowaniu procesów wewnętrznych w swoich grupach, tak aby stworzyć działający model demokracji bezpośredniej, czerpiąc przede wszystkim, jak to zauważy-

łem, z przykładów spoza tradycji Zachodu. Rezultatem jest szerokie i rosnące spektrum form i instrumentów organizacyjnych – grupy przyciągania, mediatorzy, narzędzia ułatwiające, wyłomy, otwarte spotkania, weto, obserwatorzy nastrojów i tak dalej. Wszystkie one są ukierunkowane na stworzenie takich procesów demokratycznych, w których inicjatywy mogą wychodzić oddolnie i uzyskiwać maksymalną zgodę bez głosów blokujących, dzięki czemu powstają pozycje liderów, a ludzie są skłonni zgodzić się na coś, na co swobodnie by się nie zdecydowali. Ta praca trwa, a stworzenie kultury demokracji wśród ludzi, którzy mieli z nią mało do czynienia, jest trudnym procesem, ale – jak może poświadczyć każdy komendant policji, który stanął twarzą w twarz z protestującymi na ulicy – taka demokracja bezpośrednia może być zadziwiająco efektywna.

Tu chcę podkreślić stosunek praktyki do teorii, który ten model ze sobą niesie. Być może najlepiej jest zacząć myśleć o grupach takich jak Direct Action Network (z którą pracowałem przez ostatnie 2 lata) jako o diametralnie różnych od grup marksistowskich, które tak długo charakteryzowały rewolucyjną lewicę. Podczas gdy te drugie kładą nacisk na osiągnięcie pełnej i prawidłowej analizy teoretycznej, wymagają pełnej zgodności ideologicznej oraz zestawiają wizję egalitarnej przyszłości z bardzo autorytarnymi formami organizacyjnymi w teraźniejszości, Direct Action Network wyraźnie szuka różnorodności: jej mottem może być zarówno jeśli chcesz teraz działać jak anarchista, Twoja wizja przyszłości jest Twoją własną sprawą. Jej ideologia jest w związku z tym zgodna z antyautorytarną praktyką, co stanowi jedno z najważniejszych założeń ruchu.

Jest w tym coś nowego i to coś jest potencjalnie bardzo ważne. Proces konsensusu – w którym jedną z podstawowych zasad jest to, że argu-

menty drugiej strony zawsze traktuje się jako rozsądne i umotywowane, niezależnie od tego, co myślimy o wygłaszającej je osobie – w szczególności tworzy zupełnie inny styl debaty i sporu niż decydowanie większością głosów, taki, w którym jest wiele zachęt do kompromisu i twórczej syntezy, a nie do polaryzacji, redukcji i uwypuklania kwestii, z których wynikają spory filozoficzne. Nie muszę wskazywać, jak bardzo nasz oswojony model dyskusji naukowej przypomina ten ostatni proces – lub, co

gorsza, sekciarskie myślenie, które prowadzi do niekończących się podziałów i rozłamów, a którego „nowa lewica” (jak jest czasem zwana) do tej pory prawie zupełnie uniknęła. Mam wrażenie, że aktywiści znacznie wyprzedzili teoretyków i największym wyzwaniem dla nas będzie stworzenie form praktyk intelektualnych, które będą w zgodzie z tymi demokratycznymi praktykami, a nie z męczącą sekciarską logiką, przed którą tym grupom udało się w końcu uciec. ○

